

Moja droga do zaufania i miłości - świadectwo s. Anny

Moja droga do zaufania i miłości

"Powołanie to jest wielka rzecz, to jest wezwanie Boże - nadprzyrodzone. Nie mogę powiedzieć, że ja mam powołanie, tylko jestem powołana".
(o. Ignacy Posadzy)

O rzeczach wielkich mówi się trudno i nie wiem co mogłabym o moim powołaniu powiedzieć. Jest ono DAREM OD BOGA - a daru się nie ocenia, przyjmuje się go (lub nie) i kocha. Postaram się więc opowiedzieć o wsłuchiwaniu się w Boże wezwanie, o odkrywaniu Boga i Jego Miłości.

Pierwszą osobą, która powiedziała mi o Jezusie była moja babcia. Była ona bardzo wierząca, zabierała mnie do kościoła na wszystkie możliwe nabożeństwa. Miałam 4 - 5 lat, jednak wiele pamiętam. Do dzisiaj powraca uczucie ogromnej radości i przejęcia, które czułam kiedy w Środę Popielcową podeszliśmy do balasek. Pierwszy raz byłam świadoma tego, że jestem tak blisko ołtarza. Wszystko wydawało mi się bardzo piękne, tak piękne, że zapragnęłam być tam częściej.

Prawdziwym zmartwieniem było dla mnie to, że nie mogłam zostać ministrantem. Postanowiłam, że zostanę siostrą zakonną, bo one - chociaż są kobietami - także mogą być blisko Jezusa w tabernakulum. Czy były to dziecięce pragnienia? W dużym stopniu tak, jednak pozostało we mnie uczucie zachwytu i tęsknota...

Czas szkoły podstawowej był dobrym czasem. Bardzo często byłam w kościele, brałam udział w spotkaniach prowadzonych przez siostry. Myślę jednak, że nie miałam wtedy świadomości, że Bóg naprawdę jest blisko - w moim sercu. Modliłam się tylko w kościele i na spotkaniach - w domu rzadko.

Nadszedł czas zmian - rozpoczęłam naukę w liceum w Gdyni. Moi dotychczasowi znajomi byli "porządni", teraz poznałam ludzi, którzy bardzo się ode mnie różnili. Ich życie wydawało mi się strasznie zapełnione - nie mieli czasu na rzeczy proste, zabrakło także czasu dla Boga. "Kto z kim przystaje, takim się staje" - bardzo mocno tego doświadczyłam. We-wnętrze czułam, że robię źle, jednak nie słuchałam tego głosu. Chciałam być tak jak moi nowi znajomi - "dojrzała". Ten dziwny czas - teraz określiłabym go czasem tracenia siebie - trwał prawie trzy lata. Żyłam na powierzchni, nie pragnęłam głębi, wiedziałam bowiem, że jest tam głos, który ciągle powtarza: "to nie tak być powinno". Z drugiej strony tęskniłam za tamtą dziecięcą radością, którą czułam będąc blisko Jezusa.

Pan Bóg odpowiedział na moją tęsknotę... Kiedyś wracając autobusem do domu,

spotkałam księdza z mojej parafii. Przyznałam się skąd jestem, a on zaprosił mnie na Mszę Świętą dla młodzieży. Od tak dawna nie byłam w kościele, że prawie bałam się tam pójść. A jednak, jakby wbrew sobie, posłuchałam "głosu z głębi" i poszłam. Było około pięćdziesięciu osób. W pewnym momencie ksiądz zaprosił nas, abyśmy otoczyli ołtarz. Znowu byłam blisko!!!

Później okazało się, że ksiądz doskonale mnie pamięta, uczynił kolejny krok - zaprosił mnie na spotkanie modlitewne. Poszłam, to była moja szansa, którą dzięki natchnieniu Ducha Świętego wykorzystałam. Poznałam wspaniałych ludzi, którzy byli dobrzy - tak po prostu. Mieli czas na rzeczy proste, a nade wszystko mieli czas dla Boga. Wchodzenie w siebie aż do głębi sprawiły, że i ja chciałam być taka. Bardzo wiele musiałam włożyć trudu w swoją przemianę. Pan Bóg czuwał i kierował, to On przemieniał - ja słuchałam.

Kolejnym przełomem był mój wyjazd do Taize, zupełnie przypadkowy, jak mi się przez długi czas wydawało. Nie potrafię powiedzieć co się wtedy we mnie działo, czy zaczęło działać. To było nowe, piękne i tak silne, że wszystko inne przestało być ważne. Liczył się tylko Bóg, którego pierwszy raz poczułam bardzo blisko. Zaczęło się coś dziać, chociaż wróciłam do liceum i starych znajomych, odkryłam, że jestem inna. Modliłam się coraz częściej, nie tylko w kościele, ale i w domu, nad morzem a nawet w autobusie. Starłam się jak najczęściej uczestniczyć we Mszy Świętej. Z ogromną radością wracałam na weekendy do domu, do rodziny, którą bardzo kocham, a także do przyjaciół, którzy pomagali mi ciągle na nowo odkrywać Bożą miłość.

A co z Bożym wezwaniem do życia zakonnego?

Od mojej pierwszej - raczej niepoważnej - deklaracji minęło wiele lat. Myślę jednak, że przez wszystkie te lata, było we mnie to pragnienie bycia siostrą zakonną. Przez długie lata nie potrafiłam uwierzyć, że to naprawdę głos Boga. Zbyt często liczyłam tylko na siebie. Byłam już na studiach, kiedy Pan pozwolił mi odczuć swoją moc. Nie zdałam egzaminu z chemii. Przed egzaminem poprawkowym modliłam się o Bożą pomoc, lecz tak naprawdę nie wierzyłam, że mam jakieś szansę. Pan Bóg zadziałał przez drugiego człowieka, bardzo mi bliskiego, który w rozmowie obiecał mi pamięć w modlitwie, a przy pożegnaniu powiedział "ufaj". Tylko tyle...

Poszłam na ten egzamin ze świadomością, że sama z siebie nic nie potrafię. Bóg chciał mnie w tym utwierdzić - dostałam pytanie na które zupełnie się nie przygotowałam. Coś tam napisałam i wyszłam. Jakże ogromne było moje zdziwienie, gdy się okazało, że otrzymałam ocenę pozytywną. Pierwszy tak wyraźny znak od Boga. Pomógł mi on zrozumieć, że to nie ja działam, pomagam, jestem dobra - to Bóg. Zaczęłam się zastanawiać - skoro tak, to znaczy, że nawet będąc tak słabą, mogę być siostrą zakonną - bo Bóg może uczynić wszystko.

Ostatni rok był czasem umocnienia, pozwolił mi dojrzeć do wielu rzeczy. Był też dla

moich najbliższych czasem przyjęcia mojej decyzji i zgody na nią. Rodzice nigdy nie byli przeciwni, bardzo mnie wspierali w czasie najtrudniejszym - przed samym wyjazdem - kiedy to powróciły wątpliwości. Zawsze mi ufali, a tym samym pomogli uwierzyć w siebie. Lecz tylko wiara w moc Boga, w Jego obecność i nieustanne wsparcie sprawia, że mam odwagę każdego ranka wkładać na siebie strój zakonny. Wiem, że po ludzku nie jestem godna go nosić. Tylko Boża miłość czyni mnie do tego zdolną.

Dlaczego jestem właśnie w tym Zgromadzeniu?

Siostry Misjonarki Chrystusa Króla "od zawsze" pracują w mojej parafii - dla mnie od zawsze. Mając wątpliwości, czy wybrać życie zakonne czy nie, nigdy nie miałam wątpliwości gdzie - ewentualnie - wstąpić. To Siostry Misjonarki były tymi, które zawsze były blisko ołtarza, były świadectwem i znakiem. No właśnie "one były" i to wystarczyło.

Pragnę oddać Bogu siebie, moje życie, zdolności a także słabości - których tak wiele. Chciałabym każdego dnia wzrastać w miłości i zaufaniu. To właśnie MIŁOŚĆ I ZAUFANIE nadały memu życiu sens. Niech się spełnia Boże Twoja wola w moim życiu.

s. Anna misjonarka Chrystusa Króla